

Zgoda rządzonych?

Autor: **Robert Higgs**

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: **Luiza Bielińska**

Co daje prawo jednym ludziom rządzić innymi? Co najmniej od czasów Johna Locke'a, najpopularniejszą i pozornie niepodważalną odpowiedzią na to pytanie jest „zgoda rządzonych”. Rewolucjoniści amerykańscy, chcąc usprawiedliwić secesję z Imperium Brytyjskiego, oświadczyli między innymi, że „Rządy, ustanowione między ludźmi, sprawiedliwą władzę czerpią ze zgody rządzonych”. Brzmi dobrze, szczególnie jeśli nie zastanawiać się nad tym zbyt długo i mocno. Jednak im dłużej i mocniej człowiek o tym myśli, tym bardziej problematyczna wydaje się ta kwestia.

Nasuwa się mnóstwo pytań. Czy wszyscy muszą wyrażać zgodę? Jeśli nie, to ilu musi, i jakie opcje mają ci, którzy się nie zgadzają? Jaką formę musi przybrać ta zgoda — ustną, pisemną, domyślną czy wyraźnie sformułowaną? Jeśli domyślną, to jak ma być udokumentowana? Biorąc pod uwagę, że struktura społeczeństwa zmienia się nieustannie ze względu na czynniki demograficzne (takie jak: przyrost naturalny oraz migracje zagraniczne), jak często rządzący muszą uwierzytelniać ciągłość zgody społecznej? I tak dalej. Gdy porzucimy abstrakcyjną sferę teorii na rzecz praktycznej realizacji, okazuje się, że legitymizacja władzy nastrocza wielu trudności.

Podnoszę kwestię tak zwanej umowy społecznej, gdyż nigdy nie widziałem tej umowy na oczy, nie mówiąc już o wyrażaniu na nią zgody. Wiążąca umowa wymaga dobrowolnego złożenia oferty, wyrażenia zgody i wzajemnej wymiany usług. Nigdy nie otrzymałem żadnej oferty od rządzących, z pewnością więc nigdy żadnej nie przyjąłem. Natomiast co do wzajemnej wymiany usług, od rządzących otrzymałem jedynie pogardę i groźbę dotkliwej krzywdy w razie niezastosowania się do ich rozporządzeń, mimo że na żadne z nich się przecież nie zgadzałem.

Ależ ci ludzie mają tupet! Jakim prawem okradają mnie i mną pomiatają? Czyżbym dobrowolnie stał się owieczką, którą rządzący mogą ostrzyć i zarznąć,

kiedy tylko uznają to za korzystne dla osiągnięcia własnych celów? Nic z tych rzeczy.

Poza tym, gdyby tak przedstawić ideę „zgody rządzonych” w najdrobniejszym szczególe, wtedy cała ta kwestia szybko stałaby się zwyczajnie nedorzeczna. Wystarczy zastanowić się, na czym miałyby ona polegać. Aspirujący do rządzenia zwraca się do obywatela z ofertą umowy, którą ten ma podpisać, i mówi: „Słuchaj, sprawa wygląda tak:”

Ja, pierwsza strona umowy („rządzący”), zobowiązuję się:

(1) Określić, ile swoich pieniędzy mi oddasz, a także jak, kiedy i gdzie wpłacisz te pieniądze. Twoje zdanie w tej sprawie się nie liczy, chyba że będziesz błagał mnie o litość, a jeśli nie wywiążesz się z tego zobowiązania, moi pośrednicy udzielą ci kary grzywny lub ukarzą pozbawieniem wolności, a w razie gdybyś wykazywał trwały opór, nawet śmiercią.

(2) Tworzyć tysiące przepisów, których musisz bezwzględnie przestrzegać, także pod groźbą kary wymierzonej przez moich pośredników. Nie będziesz miał żadnego realnego wpływu na treść tych zasad, tak licznych i złożonych, a niejednokrotnie również niezrozumiałych, że człowiek jest w stanie zapamiętać jedynie ich garstkę, nie mówiąc nawet o dokładnym ich przyswojeniu. Jednak jeśli złamiesz choć jedną z nich, nie zawaham się ukarać cię zgodnie z prawem ustanowionym przeze mnie i moich współników.

(3) Dostarczyć ci, na zasadach określonych przeze mnie i moich pośredników, tak zwane dobra i usługi publiczne. Być może niektóre z nich będą miały dla ciebie pewną wartość, jednak większość okaże się bezużyteczna, a inne uznasz wręcz za odpychające. Jako jednostka w żadnym wypadku nie będziesz miał realnego wpływu na to, jakie dobra i usługi tobie dostarczam, a ekonomiści będą wciskali ci bajeczki, że to ty „domagasz się” wszystkich tych rzeczy i wyceniasz je na taką kwotę, jaką ja zamierzam poświęcić na dostarczenie ich tobie.

(4) W razie wszelkich sporów między nami, sędziowie — którzy zawdzięczają mi nominację i pensję — zdecydują, jak ten spór rozstrzygnąć. Jeśli twoja sprawa w ogóle zostanie doprowadzona przed sąd, w trakcie rozprawy i tak jesteś na straconej pozycji.

W zamian za powyższe „korzyści” ze strony rządu, ty, druga strona umowy („obywatel”), zobowiązujesz się:

(5) Siedzieć cicho, nie sprawiać kłopotów, wykonywać wszystkie rozkazy wydawane przez rządzącego i jego pośredników, płaszczyć się przed nimi, jakby byli ważnymi, honorowymi ludźmi; a gdy każą ci skakać, upewnić się tylko jak wysoko.

A to ci dopiero umowa! Przecież nikt zdrowy na umyśle nie zgodziłby się na coś takiego.

Jednak powyższy opis faktycznej umowy społecznej, zawieranej rzekomo przez jednostki, jest zdecydowanie zbyt abstrakcyjny, by mógł uchwycić brutalną prawdę o byciu rządzonym. Nikt nigdy nie zrobił tego tak szczegółowo jak Pierre-Joseph Proudhon, który napisał:

Być rządzonym to być obserwowanym, nadzorowanym, szpiegowanym, kierowanym, nastawianym, podporządkowanym ustawom, indoktrynowanym, zmuszanym do wysłuchiwania kazań, kontrolowanym, szacowanym, ocenianym, cenzurowanym, poddawany rozkazom ludzi, którzy nie mają ani prawa, ani wiedzy, ani cnót obywatelskich. Być rządzonym oznacza przy każdej transakcji, przy każdym działaniu, przy każdym ruchu być odnotowanym, rejestrowanym, kontrolowanym, opodatkowanym, ostemplowanym, opatentowanym, licencjonowanym, autoryzowanym, aprobowanym, napominanym, krępowanym, reformowanym, strofowanym, aresztowanym. Pod pretekstem dbałości o dobro ogółu jest się opodatkowanym, drenowanym, zmuszanym do płacenia okupu, eksploatowanym, monopolizowanym, poddawany presji, uciskanym, oszukiwanym, okradanym; wreszcie przy najsłabszych oznakach oporu, przy pierwszych słowach skargi, być rządzonym oznacza być represjonowanym, karanym, obrażanym, nękanym, śledzonym, poniżanym, bitym, rozbieranym, duszonym, więzionym, rozstrzeliwanym, sądzonym, skazywanym, deportowanym, chłostanym, sprzedawanym, zdradzonym, i na koniec wyśmiewanym, wyszydzanym, znieważanym, okrywany

*hańbą. Taki jest rząd, taka jest jego sprawiedliwość, taka jest jego moralność*¹.

Dziś, rzecz jasna, musielibyśmy uzupełnić ten nad podziw precyzyjny opis Proudhona i zaznaczyć, że być rządzonym, znaczy również być elektronicznie monitorowanym, śledzonym przez satelity, mniej lub bardziej wyrywkowo sprawdzanym oraz nachodzonym we własnym domu przez policyjne brygady antyterrorystyczne, które za nic mają nasze naturalne prawo do decydowania o tym, jakie substancje wstrzykujemy, połykamy czy wdychamy w ciało, o którym kiedyś mówiono, że jest „nasze”.

Wróćmy jednak do kwestii legitymizacji władzy poprzez umowę społeczną. Po chwili chłodnej refleksji wydaje się, że cała ta koncepcja ma tyle wspólnego z rzeczywistością co jednoróżec. Nikt trzeźwo myślący, wyłączając może nieuleczalnych masochistów, nie zgodziłby się dobrowolnie na takie traktowanie, jakiego dopuszczają się rządy w stosunku do swoich obywateli.

Mimo to, niewielu z nas jest w tej chwili aktywnie zaangażowanych w zbrojny bunt przeciwko rządzącym w tym kraju. Brzmi to kuriozalnie, ale to właśnie ten brak otwartej, brutalnej rewolty niektórzy komentatorzy postrzegają jako dowód naszej „zgody” na ten skandaliczny sposób, w jaki traktuje nas rząd. Przyzwolić na coś powściągliwie i ostrożnie, to jednak nie to samo co się zgodzić — tym bardziej, że dla wielu ludzi, w tym i dla mnie, przyzwolenie to jest wyrazem kipiącej oburzeniem rezygnacji.

Mogę wyznać szczerze, że *nie* podoba mi się sposób, w jaki traktują mnie ci kłamcy, złodzieje i mordercy, którzy podają się za rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki, czy też ci budowniczo despotycznej piramidy państwowych, lokalnych i mieszanych rządów, przez które ten kraj jest w znacznym stopniu opanowany. Naprawdę życzyłbym sobie, by wszyscy oni, choć raz w ich pożalowania godnym życiu, zdobyli się na honorowy czyn. Najlepiej *seppuku*. Czy użyją do tego ostrego, czy tępego miecza — nieważne. Ważne, żeby zrobili to skutecznie.

Za każdym razem, gdy głoszę podobne idee, dostaję wiadomości od jakichś neandertalczyków, którzy — myśląc, że „nienawidzę Ameryki” — żądają, żebym zjeżdżał z tego kraju i wrócił tam, skąd przybyłem. Takie reakcje świadczą

¹ Cytat za: http://pl.wikiquote.org/wiki/Pierre_Joseph_Proudhon.

nie tylko o złym wychowaniu, ale także o fundamentalnym niezrozumieniu moich pretensji.

Z całą stanowczością nie nienawidzę Ameryki. Nie urodziłem się w jakimś obcym despotyzmie, lecz w naszym własnym, znanym jako Oklahoma, który to stan postrzegam jako serce i duszę tego kraju pod względem kultury i szlachetności. Ponadto, o ile mi wiadomo, niektórzy moi przodkowie żyli w Ameryce Północnej na setki lat przed tym, jak grupkę obdartych, nękaną głodem białych ludzi wyrzuciło na brzeg tego kontynentu, a którzy potem wetknęli weń swoją flagę i w imieniu jakiegoś żalosnego europejskiego monarchy przywłaszczyli sobie całą ziemię, którą mogli objąć wzrokiem i dużą część tej, której nie mogli. Istna hucpa!

Nie ugnę się przed nikim w mojej miłości do Statuy Wolności, Gór Skalistych i bursztynowych fal zboża, nie wspominając o słynnej skaczącej żabie z hrabstwa Calaveras [jest to nawiązanie do debiutanckiego tomu nowel Marka Twaina pod takim właśnie tytułem — przyp. red.]. Także, kiedy ktoś mówi mi, że mam zjeżdżać z tego kraju, czuję się jak mieszkaniec opanowanego przez [gang Jamesa](#) miasteczka, któremu powiedzieli, że jeśli nie podobają mu się rabunki i represje ze strony nieproszonych bandziorów, powinien przeprowadzić się do innego miasta. Kiedy mnie wydaje się, że to bandziory powinni zjeżdżać.